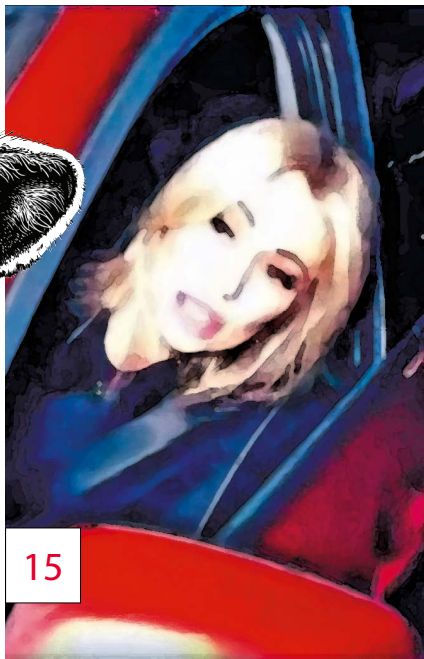


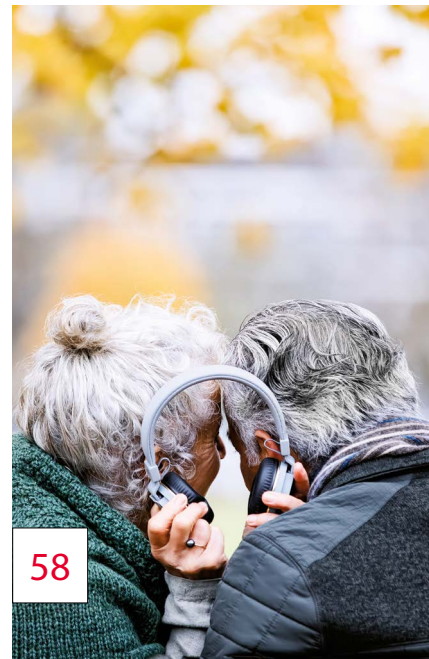
12

Choroba polskich krów



15

Sprawa Ogórek



58

Romanse w sanatorium

Tematy tygodnia

- 12 Joanna Solska **Afera mięsna**
15 Piotr Pytlakowski **Awantura pod TVP**

Polityka

- 18 Ewa Siedlecka **Świecka Polska?**
22 Anna Dąbrowska
Joanna Sawicka
Zieloni dojrzejają
25 Sławomir Sierakowski
Jak partie łowią wyborców

Społeczeństwo

- 28 Katarzyna Zdanowicz
**Podkarpacie z pełnym
zakazem aborcji?**
31 Mobbing za ekranem – rozmowa
z **Gretą Gober** o dyskryminacji
w mediach
34 Joanna Leszczyńska
Wędrujący środek kraju

Rynek

- 36 Adam Grzeszak
Rewolucja w bateriach
40 Cezary Kowanda
Jak zrobić z siebie bankruta

Świat

- 42 Łukasz Wójcik
O Iranie w Warszawie

- 45 Artur Domoślowski
AMERYKA ŁACIŃSKA
Wojsko robi politykę
48 Marek Rybarczyk
WIELKA BRYTANIA
Złośliwy spiker Izby Gmin
50 Maciej Okraszewski
Piłkarski haker

Historia

- 52 Jerzy Kochanowski
**Co mówiono
po Okrągłym Stole**
56 Grzegorz Majchrzak
**Wybuch w warszawskiej
Rotundzie**

Nauka

- 58 Rozmowa
z **dr Katarzyną Kalinowską**
o tym, jak i gdzie flirtujemy
61 Przemek Berg
Galaktyka Trójkąta
62 Joanna Zajchowska
Diagnoza: endometrioza

Ludzie i style

- 64 Urszula Schwarzenberg-Czerny
**Reklama społecznie
zaangażowana**
68 Marcin Piątek
Nasi brydżowi geniusze

Kultura

- 74 Rozmowa z artystką aktywistką
Dianą Lelonek
78 Dorota Szwarzman
Kolory „Green Booka”
81 Mirosław Pęczak
**Skąd się wzięła
Muzyka Młodej Generacji?**
84 Justyna Sobolewska
Cichy Donbas
86 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Na własne oczy

- 92 Jędrzej Winiecki
**Shenzhen – najmłodsza
chińska metropolia**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 39 Przegląd informacji rynkowych
- 70 Afisz
- 87 Passent
- 88 Stomma
- 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy
- 98 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Sciachany wizerunek

Chociaż z prezesem Jarosławem Kaczyńskim nie zgadzam się w wielu sprawach, nie mogę spokojnie patrzeć na agresywne próby niszczenia jego wizerunku ascety i ideowca skupionego na myśleniu o Polsce i w związku z tym nieorientującego się, na jakim świecie żyje i co się wokół niego dzieje. Uważam, że to nie w porządku, bo Kaczyński na swój cenny wizerunek pracował ciężko, narażając się na cierpienia i niewygody. Mimo że stoi na czele bogatej partii, zmuszony jest np. żyć w skromnej willi, do której dostarczane są mu jedynie podstawowe produkty spożywcze i karma dla kota. Musi ponadto przyodziewać się w tanią, przydużą marynarkę i sciachane buty, a podczas urlopów jest przez ministra Brudzińskiego ubierany w czapki i kurtki, które – sądząc z zamieszczanych w sieci fotografii – pochodzą z opieki społecznej lub zbiorów kościelnych.

Ze względów wizerunkowych Jarosław Kaczyński jest tak nieporadny, że nie posiada karty kredytowej ani konta w banku, a o bankowych procedurach nie ma pojęcia do tego stopnia, że gdy musi wziąć miliard złotych kredytu, nie idzie z tym do banku, tylko dzwoni do prezesa tego banku, żeby przyszedł do niego, co ten oczywiście robi, bo widzi, z kim ma do czynienia. Z powodu życiowej nieporadności oraz ciągłego myślenia o Polsce Kaczyński nie wyjeżdża także za granicę i nigdzie sam



nie wychodzi. Gdy pewnego dnia udał się w towarzystwie ochroniarzy do sklepu, wydarzenie transmitowało kilka telewizji, a ludzie dyskutowali o tym tygodniami.

Mimo to opozycja usiłuje przedstawić Jarosława Kaczyńskiego jako zwykłego, skupionego na realizacji własnych interesów polityka, co moim zdaniem jest krzywdzące i go obraża. Wytyka mu się drobne słabostki, np. to, że w wolnym czasie pasjonuje się deweloperką, a szczególnie budowaniem 190-metrowych wieżowców. Tymczasem z opublikowanych przez „Gazetę Wyborczą” rozmów jasno wynika, że te wieżowce chciał postawić nie Kaczyński, ale sprytny austriacki biznesmen, który wykorzystując naiwność prezesa PiS, został członkiem jego rodziny i podjął w jego imieniu przygotowania do budowy. Jarosław Kaczyński usiłował go od tego pomysłu odwieść, dając do zrozumienia, że mu nie zapłaci, jednak dzisiaj to jego, a nie Austriaka oskarża się o prowadzenie działalności biznesowej i zarządzanie spółką Srebrna. Jeden z posłów opozycji zarzucił nawet Kaczyńskiemu, że przez „słupa” Mateusza Morawieckiego kieruje państwem, co jest kłamstwem wyjątkowo prymitywnym, bo wystarczy przyjrzeć się ich butom i marynarkom, żeby bez trudu zorientować się, kto tu jest czym „słupem”.

Sprawdź dlaczego Klienci wybierają nasze wycieczki objazdowe

Sycylia Wyspa Niezwykła

Sycylia jest przepiękna! Szkoda nawet opisywać odwiedzane miejsca – od Etny, przez Taorminę i Wyspy Liparyjskie do Palermo i Marsalę - wszystkie są urzekające, niesamowite, przepiękne, niepowtarzalne, jedyne. To trzeba zobaczyć, słowa tu nic nie dadzą! Mieliśmy świetną pilotkę, panią Anię, która jako przewodnik zaskakiwała olbrzymią wiedzą, a przy okazji była naszym super opiekunem. Wstawaliśmy rano, ale przejazdy nie były zbyt męczące. Wygodny autokar i świetny kierowca Angelo sprawił, że w większości miejsc byliśmy wcześniej, przed tłumami turystów... Wycieczka jak marzenie, upał, słońce, przyjaźni ludzie, luz, doznania dla wszystkich zmysłów, niezapomniane chwile, ponad 2000 zdjęć i mnóstwo filmów... no i pamiątek.. Polecam z czystym sumieniem.

Ewa, 56-65 lat | w parze |

już od
2599 pln



już od
3199 pln



Gruzińska uczta

Wycieczka bardzo dobrze zorganizowana. Bardzo dobrze zaplanowany program. Standard hoteli pozytywnie nas zaskoczył. Czyste, duże pokoje w większości możliwość zrobienia herbaty czy kawy. Jedzenie bardzo charakterystyczne dla tego regionu. Wiele intensywnych przypraw. Jedyne do czego można się przyczepić to zbyt mało wolnego czasu w zwiedzanych miastach. A naprawdę w niektórych aż się prosi, np. Batumi czy Tbilisi. W Batumi polecam wjechać na Wieżę Alfabetu, a wieczorem zobaczyć pokaz grających fontann. Gruzja jest tak piękna, że pewnie jeszcze tu wrócę.

Justyna, Ruda Śląska, 46-55 lat | z rodziną |

Szwajcaria, Sabaudia, Lichtenstein – Zamożna Helwecja

Odkładałem ten wyjazd (jest w ofercie Rainbow odkąd pamiętam), bo niby czym Szwajcaria mogłaby mnie zaskoczyć? Wiadomo - ład, porządek, czysto, ładnie, wszystko działa precyzyjnie - jak w szwajcarskim zegarku. I rzeczywiście tak jest, co akurat mi osobiście w niczym nie przeszkadza, natomiast to co zrobiło na mnie największe wrażenie to przyroda - góry, jeziora, rzeki, wodospady są naprawdę oszałamiające (zarówno w Szwajcarii jak i we Francji). Do tego smak sera Gruyer i szwajcarskich czekoladek. Czego chcieć więcej? Do tego idcie szwajcarska organizacja całego wyjazdu. Gorąco polecam.

Marcin, Katowice, 36-45 lat | sam |

już od
1999 pln



A gdzie wybierzesz się Ty?

INFOLINIA: (42) 680 38 51

R.pl

Jaskółki wiosny



Jerzy Baczyński

Można powiedzieć, że „jeden sondaż (W)wiosny nie czyni”, ale 14 proc. poparcia, jakie w pierwszym pomiarze uzyskała nowa partia Roberta Biedronia, zrobiło wrażenie. Jak ujawnił któryś z medialnych doradców Wiosny, „nawet sam Robert miał łzy w oczach”. Trudno się dziwić, bo projekt, któremu poświęcił ostatnie dwa lata, wydawał się już przenoszony, nie w tempo, a wstępną, przedstartową sondaż nie dawały mu więcej niż parę procent. W kolejnych badaniach wyniki zaczęły już tańczyć między 8 a 16, ale i tak Wiosna okazała się najlepszym partyjnym debiutem od kilkunastu lat i od razu zajęła miejsce, z dawną wyglądaną, „trzeciej siły”.

Już w poprzednim tygodniu pisaliśmy, że „Wiosna może sporo namieszać w polskiej polityce”, zwłaszcza po stronie opozycji, że stawia pod znakiem zapytania istnienie SLD i Razem, potencjalnie osłabia PO i ewentualną przyszłą Koalicję Obywatelską. Więć nie dziw, że ze strony opozycji posypały się razy. Wypomniano Biedroniowi, że w naszym systemie wyborczym tylko ułatwia zwycięstwo PiS. Że jego postulaty są bałamutne, mało realne politycznie, ekonomicznie i prawnie (o problemach z separacją Kościoła od państwa ciekawie pisze Ewa Siedlecka na s. 18). On sam zaś jest narcyzem, efekciarzem, półamatorem, bo na przykład eurowyborów, które mają być dla Wiosny najważniejszym testem, kompletnie zignorował.

No więc w różnych miejscach rozmawia się dziś i spekuluje o Biedroniu, a to oznacza sukces. My, pytani o opinie na temat Wiosny, powtarzamy to samo co mówiliśmy o jego inicjatywie, odkąd i on zaczął o niej mówić. Podstawowym kryterium oceny wszelkich politycznych inicjatyw po stronie opozycji jest to, czy zwiększają szanse wyborczego zwycięstwa nad PiS – a więc powstrzymania procesu destrukcji, demoralizacji i zawłaszczania państwa przez familijno-partyjną oligarchię? Z tego punktu widzenia Wiosna ma dziś więcej zalet niż wad.

Zarzut, że nie poszerza elektoratu opozycji, a więc nie wnosi nic do wspólnej puli i jedynie podsukubuje inne partie, jest zdecydowanie przedwcześnie: porównania sondaży wskazują, że, owszem, coś podbiera, zwłaszcza PO, ale kilka punktów procentowych też dodaje. Dla młodszych, miejskich wyborców (generalnie z obrzydzeniem odrzucających „stare partie”) Biedroń jest realną opcją. Wiosna to znacznie zmodernizowana, popkulturowa wersja Razem, wciąż atrakcyjna dla tzw. środowisk progresywnych, ale też – poprzez ładnie ogrywany rys buntu, świeżości, entuzjazmu, libertynizmu – do przyjęcia dla potencjalnych wyborców Kukiza (co już potwierdziły sondaże) czy Korwina. Wiosna ma szansę sięgnąć tam, gdzie nie docierają inne partie opozycyjne; a co najważniejsze, może zwiększyć frekwencję wyborczą w miastach.

Biedroń jest także niewygodny dla PiS, i to nie tylko z powodu ostrych zarzutów i pogroźek, jakie nieoczekiwanie skierował w stronę rządzącej partii. Problemem jest jego populizm. Oskarżany o kompletnie nieodpowiedzialne składanie obietnic (mówi się, że mogłyby kosztować nie 35 mld zł rocznie, ale nawet ponad 100 mld), idzie tylko w ślady mistrzów, nauczony, że w polskiej polityce odpowiedzialność i umiar nie tylko nie są premiowane, przeciwnie – będą przez media i wyborców surowo ukarane

jako „brak społecznej wrażliwości”. Prawicowy populizm PiS zyskał więc w Biedroniu lewicową przeciwwagę. W jakiejś mierze partia Wiosna uprzedziła więc i uszkodziła przyszłe obietnice PiS.

PO, choć też składa wyborcom hojne dary, w tej konkurencji nie jest specjalnie wiarygodna, za to Biedroń, który „jeszcze nie rządził”, jako jedyny po stronie opozycyjnej może dziś przebić każdą obietnicę władzy, dodając antyPiSowi kampanijnej lekkości, hojności, rozmachu. Część tzw. elektoratu socjalnego (niechby i 2–3 proc.), zniesmaczona aferami i awanturami władzy, może więc odnaleźć w Wiosnie wyborczą alternatywę wobec PiS.

Nawet jeśli to tylko spekulacje, udany debiut nowej formacji poszerza pole oddziaływania opozycji poza tradycyjny obszar PO-PSL-SLD. To ważne, bo sojusz tych trzech partii, choć i tak trudny do wynegocjowania, może nie wystarczyć na PiS, zwłaszcza na późniejsze sprawowanie władzy. A dziś ruch Biedronia wydaje się naturalnym, oczywistym udziałowcem (ewentualnej) przyszłej koalicji rządowej.

Wtygodniu, kiedy pokazała się Wiosna, zaczęto także mówić o kolejnej inicjatywie nazwanej „Ruchem 4 czerwca”. Pomysł (od dłuższego czasu podnosi go też nasza gazeta) z grubsza polega na tym, aby do polityki ogólnopolskiej mocniej wciągnąć miejskie samorządy. Zaczynem może być skoordynowana organizacja obchodów 30. rocznicy wyborów zerwcowych, do czego zwołał i co planował zamordowany prezydent Gdańska Paweł Adamowicz. Jego pogrzeb stał się zresztą wielką manifestacją siły organizacyjnej, tożsamości, dumy i niezależności lokalnych wspólnot.

Samorządy są w ogromnej większości nastawione opozycyjnie wobec PiS, ale też trzymają naturalny dystans wobec wszystkich partii. Jednocześnie nie ma prawie takich tematów politycznych, które by ich nie dotyczyły: od edukacji, służby zdrowia, polityki ekologicznej, kulturalnej, historycznej, po inwestycje unijne czy wymiar sprawiedliwości. Jeśli te tematy mają być na poważnie obecne w kampaniach 2019 r., środowiska samorządowe muszą mówić własnym mocnym głosem.

Ruchowi 4 czerwca (nazwa jest wciąż tylko medialna) miałyby patronować z oddali Donald Tusk, a politycznym domknięciem projektu mogłoby być – o czym mówi się coraz bardziej otwarcie – zgłoszenie przez samorządy, w imieniu całej opozycji, kandydatów w jednomandatowych okręgach wyborczych do Senatu. Tym samym przekształcenie Izby Wyższej, bez zmiany konstytucji, w Izbę Samorządową. Wstępne szacunki mówią, że w takim Senacie, bez względu na wynik partyjnych wyborów do Sejmu, antyPiS mógłby mieć zdecydowaną przewagę.

Bardzo dobrze, że na politycznym przednówku pojawiają się pomysły rozszerzające organizacyjne i programowe horyzonty opozycji, choć ostatecznym kryterium ich oceny musi pozostać wyborcza racjonalność. Niemal każdy dzień przynosi nam nową bulwersującą wiedzę o naturze państwa PiS. Kto chce w nim żyć, jego wola; ci, którzy nie chcą, nie mają wyboru, poza – będziemy powtarzać – wygraną wyborów.

Jan Koza



© JAN KOZA

KOMENTARZ

Ruch w koalicji

Malwina Dzedzic



Opozycja ma PiS na widelcu – pisał na początku roku Mariusz Janicki (POLITYKA 3), wskazując, że wystarczy tylko, aby przeciwnicy rządzącej formacji zablokowali się przed kolejnymi wyborami. To stwierdzenie zaniepokoiło prawicowych komentatorów. I nie bez powodu. Ubiegłotygodniowy sondaż IBSP dla Radia Zet – grupy, która prognozowała zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego już w I turze – pokazał, że wspólnymi siłami PO, PSL, SLD i N mogą pokonać PiS w nadchodzących eurowyborach (42 do 38 proc.; partia Biedronia, liczona osobno – 8 proc.).

A majowe zwycięstwo, jak się wydaje, może „ponieść” do jesiennych wyborów. Pod kilkoma warunkami.

Po pierwsze, przedłużające się negocjacje w sprawie utworzenia koalicji do PE powinny się jak najprędzej sfinalizować. Z naszych informacji wynika, że w tym tygodniu będą dogrywane ostatnie szczegóły związane z rozdziałem miejsc. A ramy projektu zostaną przedstawione jeszcze w tym miesiącu – ma to być drugi krok po tym, jak na początku lutego **Grzegorz Schetyna** wraz z byłymi premierami i szefami MSZ podpisali deklarację Koalicji Europejskiej dla Polski. Nie jest pewne, czy wszyscy sygnatariusze znajdują się na listach, ale większość raczej na nie trafi. W tym zasłużeni politycy lewicy. Ich wystąpienie niejako przesądziło o przystąpieniu SLD do formowanego przez Schetynę bloku. Ale nie tylko to. Włodzimierz Czarzasty jest pod ścianą: sondaże Sojuszu balansują na granicy progu, działacze w terenie szykują się do transferów (przykładowo część radomskich struktur, w tym ich szef, dołączyła do Inicjatywy Polskiej), Biedroń nie chce współpracować, a i z „siadania do stołu” z Razem niewiele wynikało.



© STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Największą niewiadomą pozostawali dotychczas ludowcy. Prezes PSL, negocjując ze Schetyną, próbował jednocześnie dograć na boku tzw. małą koalicję (PSL, SLD, N, UED). Tyle że w międzyczasie Czarzasty porozumiał się z szefem PO, więc na niewiele się to zdało. Wraz z liderkami Nowoczesnej oraz UED **Władysław Kosiniak-Kamysz** zaapelował co prawda o powstanie Koalicji Polskiej, ale przeszło to bez echa. Nic dziwnego, sojusz ludowców z dawnymi unitami, którzy w dodatku w sondażach mają mniej niż 1 proc. poparcia, to czysta gra pozorów. PSL zwleka z decyzją o przystąpieniu do KE i przedkłada Schetynie kolejne oczekiwania, zaskaniając się obawą o „utratę tożsamości”. W partii ścierają się głosy tych, którzy z eurowyborów chcą robić „poligon” i kolejny raz „się policzyć”, z tymi, którzy trzeźwo kalkulują, że porażka ograniczy pole negocjacji przed jesiennymi wyborami. Jak jednak udało nam się potwierdzić we władzach PSL: „koalicja będzie”.

Platforma, jako największa siła, chce oddać koalicjantom jedną trzecią miejsc (w tym „jedynek”). A ci to nie tylko PSL, SLD czy Inicjatywa Polska, ale także Zieloni, Krajowa Partia Emerytów i Rencistów, Teraz! i zapewne N wraz z UED.

Zagadką są plany Donalda Tuska. W kuluarach spekuluje się o tzw. Ruchu 4 Czerwca, ale osoby z otoczenia byłego premiera utrzymują, że wiele w tym nieporozumień i przeinaczeń, ponieważ nie chodzi o utworzenie konkurencji wobec PO, ale o „wsparcie szeroko pojętej opozycji”. Można domniemywać, że to kolejna odsłona rywalizacji Tuska ze Schetyną – na razie na etapie wypuszczania różnych „balonów” i sondowania nastrojów. Bo czym będzie wspomniany ruch, okaże się dopiero po eurowyborach. Wszystko zależy od ich wyniku. Zwycięstwo PiS dałoby pretekst do przeorganizowania się opozycji i objęcia nad nią patronatu przez szefa Rady Europejskiej. Znowu pojawiłaby się narracja o białym koniu, a Schetyna zostałby sprowadzony do roli gracza, który za Tuskiem może najwyżej trampki nosić. W innym wypadku – głównym rozgrywającym pozostałby obecny lider Platformy. Ale Tusk mógłby wesprzeć swoim autorytetem „samorządową” listę do Senatu.

Antyrządowa opozycja sięga więc po widelec, jednak wytrącić go może jej Robert Biedroń, który jak na ewentualnego przyszłego sojusznika zbyt wiele energii wkłada w ataki na PO. Taka demobilizująca wojna podjazdowa może mieć oplakane skutki – wiosna może i będzie Wiosna, ale jesień PiS-u.

Nielegalny wiceprezes?

Wszystko wskazuje na to, że europoseł PiS Tomasz Poręba, nie nacieszy się długo funkcją wiceprezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego.

Stołeczny Sąd Rejonowy odmówił wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego badmintonowym działaczom, którzy w grudniu ubiegłego roku przegłosowali odwołanie zarządu z prezesem Markiem Zawadką na czele. Wybrano nowe władze – prezesem ponownie został Marek Krajewski i zarekomendował do zarządu Porębę, wychwalając jego wkład w rozwój kierowanej

przez siebie fundacji Narodowy Badminton. Następnie Poręba został oddelegowany do Polskiego Komitetu Olimpijskiego, gdzie od razu objął fotel wiceprezesa. O wpychaniu się przez działaczy PiS do władz sportowych związków już pisaliśmy (POLITYKA 5).

Legalność zjazdu i podjętych na nim decyzji od początku budziła wątpliwości. Zawadka poskarżył się do Ministerstwa Sportu, otrzymał jednak odpowiedź, że resort nie widzi podstaw do kwestionowania samego zjazdu, jak i uchwał, jakie zapadły

podczas obrad, a przysługujących mu środków nadzoru nie zastosuje. Sąd uznał inaczej – z uzasadnienia orzeczenia wynika, że grudniowy zjazd został zwołany z pogwałceniem statutu PZBad, jest więc nieważny, a decyzje na nim podjęte nie mają mocy prawnej. Obecność Tomasza Poręby w olimpijskich władzach może uratować tylko skuteczna apelacja od decyzji o odmowie wpisu do KRS. Statut PZBad mówi jednak jasno: zwoływanie zjazdu delegatów należy do kompetencji zarządu. A tak się nie stało.

(MP)



Ile Macrona w Biedroniu

Sympatycy lidera Wiosny próbują go porównywać z francuskim przywódcą. Czy słusznie?

Prezydent Francji w ostatnich miesiącach nie ma dobrej prasy. Jego wizerunek został mocno nadszarpnięty na skutek buntu „żółtych kamizelek”. Mylą się jednak ci, którzy już teraz skazują jego prezydenturę na niepowodzenie – Emmanuel Macron ma duże szanse na odzyskanie inicjatywy. Bez względu na to, jaka będzie jego przyszłość, nie ulega wątpliwości, że sukces w wyborach prezydenckich w 2017 r. kompletnie zmienił krajobraz polityczny nad Sekwaną i nie tylko w Polsce wzbudził tęsknotę za nowym charyzmatycznym liderem, który przyniesie odnowę życia publicznego.

Niektórzy bardzo chcą zobaczyć w Robercie Biedroniu polskiego Macrona, a w jego Wiośnie – En Marche! (Naprzód!), czyli popolite ruszenie, z którym francuski polityk wyruszał w drogę prowadzącą do prezydentury. Moim zdaniem to jednak mało trafne porównanie. Różnice są oczywiste, a analogie raczej pozorne.

Macron i Biedroń unikają sytuowania się na osi prawica–lewica. W kampanii prezydenckiej Macrona zasadniczy podział polityczny i społeczny dotyczył zwróconych ku przeszłości obrońców status quo i zwolenników reform, które przyniosą Francji postęp. Także Biedroń próbuje nie definiować swojego ruchu jako lewicy; określa go jako postępowy i nowoczesny. W istocie jednak występuje fundamentalna różnica pomiędzy politycznym usytuowaniem Macrona i jego partii na francuskiej scenie politycznej a miejscem, które próbuje na naszej scenie zająć lider Wiosny.

Macron pierwsze znaczące poparcie uzyskał od osobistości politycznych należących do reformatorskiego skrzydła Partii Socjalistycznej. Było to środowisko najbliższe jego poglądom. W swej kampanii zmierzał jednak do centrum i po osiągnięciu prezydentury premierem mianował polityka wywodzącego się z prawicy. W rządzie na ważnych stanowiskach znaleźli się znani politycy prawicy i centrum. Nie ulega wątpliwości, że prezydent ulokował się w centrum spektrum politycznego i takie miejsce zajmuje jego partia w Zgromadzeniu Narodowym.

Sprzyjały mu okoliczności. Nieudana prezydentura jego poprzednika François Hollande'a doprowadziła do głębokiego kryzysu Partii Socjalistycznej i wystawienia przez nią w wyborach prezydenckich kandydata o poglądach zbliżonych do skrajnej lewicy. François Fillon, kandydat prawicy, był faworytem wyborców. Pozycję tę stracił w wyniku zarzutów fikcyjnego zatrudniania żony i dzieci jako asystentów parlamentarnych. Marine Le Pen, z awanturycznym planem wystąpienia Francji ze strefy euro, była nie do przyjęcia dla zdecydowanej większości Francuzów. Podobnie jak Jean-Luc Mélenchon – utalentowany, ale niezwykle demagogiczny kandydat skrajnej lewicy, wielbiciel Cháveza, skłonny do podjęcia dyskusji dotyczącej rewizji granic w Europie.

Macron miał szczęście. Wykorzystał kryzys głównych partii prawicy i lewicy. Po raz pierwszy w historii V Republiki – której system wyborczy sprzyja polaryzacji na prawicę i lewicę – doprowadził do władzy centrum. Jest stanowczo zbyt wcześnie, aby prognozować, czy mamy do czynienia z wyjątkiem od reguły, może jedynie efemerydą, czy też trwałą przebudową układu sił politycznych we Francji.

Roberc Biedroń wcale nie sytuuje się w centrum. Hasła przez niego głoszone umiejscawiają go na dość radykalnej lewicy. W obecnych polskich realiach postulaty wprowadzenia aborcji na życzenie, usunięcia nauczania religii ze szkół i zrównania praw małżeństw jedнопłciowych z dwupłciowymi mają charakter radykalny, a próba ich realizacji musi prowadzić do bardzo głębokiego światopoglądowego, ideologicznego i – w konsekwencji – politycznego konfliktu w naszym kraju. Zapewne najgłębszego z dotychczasowych. I moim zdaniem bardzo szkodliwego dla Polski.

Mocną stroną Macrona był program ekonomiczny (oceniany przez ekspertów jako najbardziej dojrzały; obok programu Fillona) oraz wizja Europy. W sprawach ekonomicznych Biedroń mówi tylko o wydatkach. Unika wskazania źródeł ich finansowania. Zdaniem poważnych ekspertów obietnice Biedronia są bardzo kosztowne i mało realistyczne. O jego wizji Europy wiemy tylko, że jest proeuropejska. To zdecydowanie za mało. Programowe przemówienie lidera, który nic nie mówi o polityce zagranicznej, zwłaszcza w sytuacji, gdy polityka obecnego rządu wprowadziła nas w tej dziedzinie w poważne tarapaty, z pewnością nie świadczy o poważnym traktowaniu zarówno zwolenników, jak i opinii publicznej.

Macrona i Biedronia zasadniczo różnią więc usytuowanie na scenie politycznej i rozłożenie akcentów programowych. Czy istnieje jakieś podobieństwo w osobowościach i metodzie sprawowania przywództwa? Tu odpowiedź jest trudniejsza.

Jedno jest pewne: ważnym, a może najważniejszym źródłem kłopotów Macrona było samotne sprawowanie władzy i nieumiejętność stworzenia zwartej ekipy, której zdanie poważnie brałby pod uwagę. Hollande pozostawił po sobie obraz polityka, który chce być zwyczajnym Francuzem, ale w oczach rodaków okazał się słabym przywódcą. Macron od początku budował wizerunek lidera, który ma wielką władzę i umie sam podejmować nawet najtrudniejsze decyzje. Gdy po zwycięskiej II turze kroczył dziedzińcami Luwru na spotkanie ze swymi zwolennikami przy dźwiękach „Ody do radości”, odniosłem wrażenie, że chce przypominać energicznego I konsula, młodego Bonaparte'go. Świadomie zrezygnował z rozkładania odpowiedzialności na premiera i rząd, co w pełni umożliwia konstytucja V Republiki, w której premierzy – zgodnie z określeniem Lecha Wałęsy – gdy wymagają tego okoliczności, pełnią funkcję „zderzaków”. Dopiero w czasie kryzysu „żółtych kamizelek” Macron wysunął na pierwszą linię premiera Édouarda Philippe'a. Czy nauczył się grać bardziej zespołowo i uważniej słuchać? Na pewno ma szansę. Wydaje się, że stopniowo odzyskuje inicjatywę.

Co wiemy o Robercie Biedroniu? Widzimy jego duże ego, chęć skupienia uwagi, przede wszystkim na sobie. Czy umie słuchać? Czy ma ekipę, z której zdaniem się liczy? Z mojej perspektywy – obserwatora o poglądach całkowicie odmiennych od lidera Wiosny – nie sposób odpowiedzieć na to pytanie. Na razie porównywanie go z Macronem po prostu mnie śmieszy. To politycy zupełnie innego formatu i radykalnie różnych kompetencji.

Ponad mit

Jako żołnierz Szarych Szeregów walczył w powstaniu warszawskim. Był ważnym autorem tygodnika „Po Prostu”. W 1980 r. pisał statut Solidarności. Ale przede wszystkim Jan Olszewski był adwokatem polskiej opozycji. W tej roli uczestniczył w najstraszniejszych procesach politycznych PRL. Jego klientami byli m.in. Melchior Wańkiewicz, Stanisław Cat-Mackiewicz i Janusz Szpotański. Po „Liście otwartym do Partii” (1965) bronił Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Po Marcu 1968 – Adama Michnika. A po Czerwcu 1976 r. – robotników z Radomia.

Półroczne premierowanie (1992 r.) to ledwie epizod w biografii Olszewskiego. Choć nie protestował, gdy zredukowano go do roli ikony „nocnej zmiany”. W końcu legendę tego rządu stworzył jego dramatyczny upadek. Sporym paradoksem okazała się jego ideowa afiliacja



w III RP. Ów socjalista, wychowany w tradycji pepesowskiej, został bohaterem narodowo-katolickiej prawicy. Pewnie trochę z przypadku. Jako adwokat uniknął w stanie wojennym internowania. Tłumaczył, że nie miał wyboru, jak schować się pod parasolem Kościoła. Zmienił wtedy optykę, oddalił od dawnych przyjaciół z KOR. W wywiadzie z lat 90. roz-

mawiająca z nim dziennikarka próbowała uzyskać potwierdzenie tezy o „różowych hienach” z KOR, które na plecach robotników dorwały się do władzy. Odpowiadał nieco zakłopotany: „Kiedy się cofam pamięcią do tamtego czasu, to tak oczywiście wcale to nie było”.

Od lat zmagał się z ciężką chorobą, niemal już nie wychodził z domu. Identyfikował się z „dobrą zmianą”, choć potrafił ją też krytykować. Zachował zdrowy rozsądek. Wyrastał ponad ciasny mit, który mu skrojono.

Jan Olszewski odszedł w czwartek 7 lutego.

RAFAŁ KALUKIN

Bastion ECS

Wjeście na wojenną ścieżkę w sprawie Europejskiego Centrum Solidarności było błędem politycznym ministra kultury Piotra Glińskiego i wiceministra Jarosława Sellina. W efekcie obaj politycy oberwali po nosie od obywateli, którzy nie życzą sobie ręcznego sterowania instytucjami kultury.

Podobno poszło o 31 sierpnia 2018 r. Prezydent Duda składał kwiaty pod pomnikiem Poległych Stoczniovców, gdy grupa ludzi na tarasie gmachu ECS (sąsiaduje z pomnikiem) rozwinęła baner z wyjątkowo obraźliwym słowem „konstytucja” i wznosiła okrzyki. Nie pomogły tłumaczenia, że ECS to miejsce ogólnie dostępne. W październiku minister kultury obciął placówce dotację na 2019 r. o 3 mln zł. Przedstawiciele rady ECS zabiegali o spotkanie z ministrem od listopada 2018 r. Bezskutecznie. Dopiero kontakt p.o. prezydenta Aleksandry Dulkiewicz z premierem Morawieckim sprawił, że ministrowie Gliński i Sellin zdecydowali się udzielić audiencji pani prezydent i marszałkowi województwa. Byli gotowi przywrócić finansowanie w zamian za wprowadzenie własnego wicedyrektora oraz utworzenie w ECS 10-osobowego działu im. Anny Walentynowicz. Słowem: szantaż.

Minister kultury skarży się, że jego wpływ na ECS nie jest adekwatny do kwot przekazywanych na działalność. Faktycznie, nie może sterować ręcznie, jak lubi, bo to instytucja samorządowo-rządowa. Ma aż pięciu założycieli, którzy są reprezentowani w 16-osobowej radzie (miasto – 5 osób, ministerstwo – 4, samorząd województwa i NSZZ „S” po 2, Fundacja Centrum Solidarności i Lech Wałęsa – po 1 osobie). I jako 16. – przewodniczący kolegium historyczno-programowe. To gremium jest mocno zróżnicowane

pod względem poglądów (zasiada w nim m.in. Marta Kaczyńska). To poprzez owe ciała statutowe założyciele mogą wywierać wpływ, układać się, promować swoje pomysły. Jednak w radzie nie przypominają sobie ważkich projektów merytorycznych zgłaszanych przez resort, choć do października 2018 r. zasiadał w niej minister Sellin we własnej osobie.

A podział wpływów, to że najsilniejszym graczem jest Gdańsk, nie pojawił się znikąd. Wynika z zawartej niegdyś umowy. I jest pochodną zaangażowania w powstanie ECS. Także finansowego. Siedziba została zbudowana na działce wniesionej przez miasto za pieniądze miejskie i unijne. Prezydent Adamowicz często brał cięgi, że pakuje miliony w ECS zamiast w chodniki. Wystawę stałą zafundował samorząd województwa. Wyposażenie miał sfinansować resort kultury, którym wtedy kierował minister Zdrojewski. Ale coś nie wyszło, więc pieniądze wyasygnowało miasto. Z ministrem zawarło dżentelmeńską umowę, że zrekomensuje ten wydatek, podwyższając dotację na działalność o 3 mln zł. To ta kwota, którą teraz obciął minister Gliński.

Na ultimatum kierownictwa resortu rada ECS odpowiedziała odmownie. Gdy przedstawiała swoją decyzję opinii publicznej, w internecie pełną parą szła zbiórka pieniędzy na ECS. Popłynęły też darowizny na subkonto ECS. Tłumy ludzi stały przed kasami po bilety. Zebrano więcej, niż się spodziewano. Planowane na 4 czerwca obchody 30. rocznicy obalenia komunizmu są niezagrażone.

Do krytyków ECS dołączyła też Solidarność, zawieszając uczestnictwo swoich przedstawicieli w radzie. Związkowcy zarzucają, że nie wszyscy bohaterowie „S” czują się w ECS dobrze. Ale tu nie chodzi o dopieszczanie bohaterów, tylko o obraz historii. Tej prawdziwej.

RYSZARDA SOCHA

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci ś.p. Pana Premiera

Jana Olszewskiego



znakomitego adwokata, obrońcy w procesach politycznych, współtwórcy Komitetu Obrony Robotników i statutu „Solidarności”, prezesa Rady Ministrów wyłonionej przez pierwszy po wojnie wybrany w pełni demokratycznie Sejm Rzeczypospolitej, posła na Sejm I, III i IV kadencji, kawalera Orderu Orła Białego, doradcy ś.p. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, żołnierza Szarych Szeregów i uczestnika powstania warszawskiego.

Rzeczpospolita żegna dziś wybitnego polityka, męża stanu, dobrego człowieka, który przez całe życie szedł drogą służby Niepodległej i był wszędzie tam, gdzie ważyły się losy wolności Polaków.

Rodzinie i Bliskim Zmarłego składam wyrazy serdecznego współczucia

Prezydent
Rzeczypospolitej
Polskiej
Andrzej Duda



Francja dodaje gazu

Nord Stream II to sprawa między Berlinem i Moskwą – brzmi najnowsze stanowisko większości unijnych rządów. W zeszłym tygodniu Berlinowi i Paryżowi udało się zablokować propozycję, która wyraźnie podrożyłaby i opóźniła budowę drugiej nitki rosyjskiego gazociągu po dnie Bałtyku. Polska i kilka państw naszego regionu obawiają się, że jeśli ta rura powstanie, Rosja będzie szantażować je odcięciem dostaw gazu. Dlatego Warszawa z optymizmem przyjęła pierwotną propozycję, która nakazywała rozdział instytucjonalny między operatorem gazociągu i dostawcą surowca, zabraniała dyskryminacji innych dostawców, którzy chcieliby korzystać z rury, i przede wszystkim obejmowała tymi przepisami cały przebieg rury pod unijną jurysdykcją. Chodzi nie tylko o niemieckie, ale również duńskie

i szwedzkie wody terytorialne. Te dwa ostatnie państwa zapowiadały sumienną egzekucję prawa wobec Nord Stream II, głównie pod kątem ochrony środowiska, co mogłoby Rosjan dużo kosztować.

Wydawało się, że Niemcom nie uda się zablokować tych pomysłów, ale w ostatniej chwili z pomocą przyszli im Francuzi. Teraz projekt, który trafi do konsultacji z europarlamentem i Komisją Europejską, przewiduje, że rura będzie podlegała wspomnianym obostrzeniom jedynie na wodach terytorialnych Niemiec. A to oznacza, że sprawę rozstrzygną między sobą Berlin i Moskwa. Skąd ta wolta Francuzów? Paryż liczy ponoć na poparcie Berlina w forsowaniu Francuza na szefa Komisji. I nie ma ważnych interesów w Europie Wschodniej, żeby jej bronić.

Rok świnki Peppy

W Chinach spore zamieszanie robi świnka Peppa, bohaterka brytyjskiej kreskówki dla maluchów. Jest twarzą chińskiego Roku Świni, który zaczął się 5 lutego. Na jej punkcie szaleją dzieci, dorośli, handel i biznes rozrywkowy. Świetnie sprzedaje się nowy długometrażowy film kinowy. Odcinki serialu dostępne w chińskim internecie odtworzone w sumie dziesiątki miliardów razy, internauci sami dodają dubbing w różnych dialektach. Wizerunek świnki wciągnęła kultura popularna, czyniąc z niej podstawę memów internetowych, humorystycznych obrazków, nie zawsze odpowiednich dla dzieci.



Peppa stała się bowiem także symbolem rebelii. Pojawiła się w Chinach w 2015 r., w czasie gdy powstawała nowa subkultura młodzieżowa. Gorzej sytuowani i słabiej wykształceni nastoletni chłopcy zaczęli prezentować się jako groźni gangsterzy. Z braku środków i przestępczej motywacji w schodzeniu na złą drogę poprzestają na kostiumie i rekwizytach, m.in. tatuażach z Peppą w formie raczej dla starszaków – z cygarem, karabinem czy złotym łańcuchem. Przez tę dowolność problem ze świnką mają władze. Według nich brytyjskie wartości rodzinne nie współgrają z chińskimi, zarówno w przeobrobionej, jak i oryginalnej wersji.

Owszem, rodzina świnki żyje harmonijnie, ale mieszka w domu jednorodzinnym (w chińskich miastach to luksus), sama Peppa chodzi do prywatnej szkoły (luksus jeszcze większy), jest uparta i psotna. A to może zachęcać dzieci do indywidualizmu i prowokować pretensje o specjalne traktowanie. Dlatego nie zawsze ze świnką było tak różowo. W 2017 r. książki z nią nakazano zdejmować z półek księgarni. Przed rokiem usuwano kreskówkę z internetu. W Chinach ponad 60 proc. rynku opowieści dla dzieci pochodzi z zagranicy, głównie z Europy lub Ameryki. Pozostający u władzy komuniści uznają, że to za dużo. Sami chcieliby zachować kontrolę nad tym, czym ekscytują się ich najmłodszy poddani.

Gwiezdne wojny Trumpa

Satelity mają najpierw namierzać, a docelowo również zestrzeliwać odpalane na Ziemi rakiety balistyczne. Wizja obrony antyrakietowej zatwierdzona przez Donalda Trumpa bardzo przypomina inicjatywę obrony strategicznej Ronalda Reagana sprzed 40 lat. Wtedy nie wyszła głównie z powodu upadku ZSRR, ale także wskutek przesytu ambicji nad możliwościami i budżetem. Podstawowe założenie Trumpa jest takie samo jak Reagana – by niszczyć rakiety wroga nad jego terytorium, sprawiając, iż to on sam padnie ofiarą swego ataku. Dopiero te głowice, które przedarłyby się przez kosmiczną zaporę, zestrzeliwałyby tradycyjnie antyrakiety.

Dzisiejsza technika pozwala wierzyć bardziej w militaryzację przestrzeni orbitalnej, o bardziej odległym kosmosie wciąż nie ma mowy. Czujniki wykrywające i systemy niszczące na orbicie mają decydować o globalnym układzie sił. Kto będzie

panować w kosmosie, będzie panem równowagi strategicznej na Ziemi. Na papierze już w 2030 r., ale nawet przy taniejącej technologii to projekt niezwykle kosztowny. Ponownie padają pytania o realność techniczną. Satelitarne sensory śledzące cały glob to w zasadzie kwestia inwestycji, ale człowiek nadal nie zbudował laserów mogących z orbity zniszczyć cokolwiek na Ziemi. Czy uda się to w perspektywie dekady? Na wypadek gdyby się nie udało, strategia Trumpa przewiduje rozwiązania bardziej klasyczne i bliższe Ziemi: więcej radarów, pocisków przechwytyjących, wyposażenie w antyrakiety najnowszych samolotów F-35, a dronów w lasery. Stronie atakującej grozić ma hipersoniczny arsenał ofensywny gwarantujący błyskawiczny odwet. Komu? Rosja mówi o nowym wyścigu zbrojeń, ale amerykańskie strategię czasu Trumpa za pierwszego przeciwnika mają Chiny. To ich dokonania w kosmosie pchają Amerykę do nowego skoku do gwiazd.

Teraz na różowo

Egipt, który od lat wyznaczał trendy w świecie arabskim, jako pierwszy w regionie rozpoczął produkcję „różowej pigułki”. Promowana jako kobiecy odpowiednik „niebieskiej pigułki” (czyli viagry) ma wywoływać „ochotę na seks”.

Podstawowa różnica jest taka, że nie pomagają rozwiązywać problemów techniczno-mechanicznych, a jest rodzajem antydepresanta, poprawia nastrój i wzmacnia libido (zachęcają materiały promocyjne), i nie łyka się jej jednorazowo tuż przed, a zażywa codziennie. W kairskich aptekach cieszy się sporym wzięciem, choć głównie nabywają ją wysłani przez panie panowie. Problem jest: w konserwatywnym Egipcie przybywa rozwodów z powodu niedobrania się. Siedem na dziesięć kobiet ma kłopoty z seksem i często ze swoimi problemami pozostają same. Ale przeciwnicy różowego cudu uważają, że pigułka to zła odpowiedź: lek działa słabo, a potrafi nieść skutki uboczne, jak obniżenie ciśnienia.

Szlak przecierali Amerykanie. Miejscowy odpowiednik, flibanserin, produkowany jest przez firmę Sprout, spoza listy gigantów farmacji, pod handlową nazwą Addyi. I po kilku podejściach uzyskał zielone światło od FDA, wszechwładnej Agencji Żywności i Leków. Za oceną promocja jest bardziej stanowcza i nazywa Addyi najważniejszym przełomem w życiu kobiet od czasów pigułki antykoncepcyjnej. I że bardzo by się przydał na co dzień przynajmniej 5,5 mln Amerykanek. A też silna jest grupa sceptyków głosząca, że problemów z kobiecym libido nie da się potraktować tak samo jak męskich kłopotów z erekcją. Na wyniki tej próby sił czekają wielkie koncerny.



O kim mówił papież?

Nie ustają dociekania, kogo miał na myśli Franciszek, gdy opowiedział dziennikarzom anegdotę o kardynale Ratzingerze. Jeszcze jako szef Kongregacji Nauki Wiary miał on interwiewować u papieża w sprawie pewnej organizacji religijnej, przesiąkniętej zepsuciem seksualnym i ekonomicznym. Franciszek nie wymienił jej nazwy ani Jana Pawła II. Ale powszechnie uznano, że chodzi właśnie o niego i zgromadzenie księży Legionistów Chrystusa. Wcześniej padło pytanie o sytuację zakonnic napastowanych przez księży, w tym biskupów, jak ostatnio w Indiach. Dochodzi do gwałtów i aborcji poczętych dzieci. Franciszek potwierdził, że Kościół ma z tym problem, zwłaszcza w Afryce i Azji. Tu wspominał o żeńskim zgromadzeniu zakonnym, nie wymieniając jego nazwy, które duchowni i założyciel wpędzili w „niewolnictwo seksualne”. Rzecznik Watykanu wyjaśnił, że Franciszek mówił o siostrach kontemplacyjnych ze Wspólnoty św. Jana Apostoła. Założył je francuski dominikanin i filozof M.D. Philippe (wydawany także po polsku). Okazało się, że wchodził w „nieczyste” relacje z kobietami, w tym zakonnicami. Kościół próbował uzdrowić sytuację, ale wśród siostr doszło do rozłamu. Benedykt XVI rozwiązał rozłamową wspólnotę w 2013 r., a rok później Franciszek wydalil z zakonu cztery siostry. Rzecznik Watykanu dodał, że papież przez niewolnictwo seksualne rozumiał manipulacje zakonnicami na tle seksualnym. Ale nie potwierdził, że papież mówił o legionistach. Ich założyciel, ks. Marcial Maciel Degollado z Meksyku, obarczony zarzutami o seryjne przestępstwa seksualne, został odwołany przez Benedykta XVI w 2006 r. Za pontyfikatu Jana Pawła II sprawy nie ujawniono. Do dziś nie wiemy, kogo Ratzinger miał na myśli, mówiąc o „tamtej partii”, która wtedy wygrała. Może o niej jeszcze być głośno.

REKLAMA

500 GRAMÓW ŻYCIA, a w nim 50 mililitrów krwi.

Życie mieszczące się na dłoni dorosłego człowieka, w rękach neonatologów, anesteziologów i pielęgniarek. **Weźniak przychodzący na świat kilkanaście tygodni przed terminem nie potrafi samodzielnie oddychać, utrzymać stałej temperatury swojego ciała ani ssać.** Dzięki współczesnej medycynie ma szansę przeżyć, ale walka o jego dalszy rozwój nie zakończy się na szpitalnych oddziałach.

Niezwykle istotnym czynnikiem wpływającym na dalszy rozwój wcześniaka jest wiek ciążowy, w którym się rodzi. Szanse na przeżycie dzieci urodzonych po 24. tygodniu ciąży (tc.) wahają się między 50% a 80%, a tych urodzonych przed 24. tc. między 10% a 35%.

W Polsce statystycznie co drugi wcześniak po urodzeniu przebywa ponad 2 miesiące na oddziałach intensywnej opieki neonatologicznej, wyposażonych w specjalistyczną, zaawansowaną technologicznie aparaturę. Nie miałby najmniejszego szans na przeżycie bez:

- **respiratora – oddychającego za niego.**

Układ oddechowy u dziecka wykształca się w pełni dopiero w 32. tc. Dziecko urodzone wcześniej ma znaczące problemy z oddychaniem, jest 10 razy bardziej narażone na zakażenia dolnych

drog oddechowych niż dzieci urodzone w terminie. **Niezdolność wcześniaka do samodzielnego oddychania wynika m.in. ze zbyt małej w jego płucach ilości surfaktantu –** czynnika powierzchniowego zapobiegającego nadmieremu rozciągnięciu pęcherzyków płucnych w trakcie wdechu, a także przeciwdziałającego zapadaniu i sklejananiu się ich ścian w trakcie wydechu.

• **monitora bezdechów – kontrolującego jego oddech i alarmującego personel medyczny** jeżeli zdiagnozują, że wcześniak nie oddycha przez ponad 20 sekund lub liczba oddechów spadła do 10 na minutę. Prawidłowe wartości to 30-60 oddechów na minutę. Bezdechowi towarzyszyć może bradykardia (czyli zwolnienie akcji serca) i/lub sinica. **Bezdech występuje u 50% dzieci urodzonych w 30.–31. tc. i prawie u wszystkich noworodków skrajnie niedojrzałych (urodzonych przed 28. tc.).** Przyczyną bezdechów jest niedojrzałość ośrodkowego układu nerwowego.

Weźniak przebywając w szpitalu może być podłączony jeszcze do wielu innych urządzeń, m.in.: pulsoksymetru – mierzącego stężenie tlenu we krwi i tkankach, monitora kontrolującego stężenie dwutlenku węgla we krwi, czy pompy infuzyjnej tłoczącej odpowiednią dawkę leków. Wcześniak korzysta zazwyczaj także z inkubatora (zamkniętego lub otwartego), utrzymującego właściwą tem-

peraturę jego ciała, natomiast odżywiany jest za pomocą kroplówki lub sondy dożołądkowej.

Walka o życie i zdrowie wcześniaka nie kończy się po jego wyjściu ze szpitala. Bierząc pod uwagę ten niezmiernie istotny fakt, Fundacja Pomocy Dzieciom Kolorowy Świat w Łodzi, opracowała i wdrożyła nowatorski program zapewniający ciągłość opieki medycznej i terapeutycznej nad wcześniakami oraz noworodkami zagrożonymi zaburzeniami rozwoju. Program realizowany jest w stworzonym dwa lata temu ośrodku Otulinka, przez posiadający wysokie kwalifikacje i ogromne doświadczenie zespół specjalistów: lekarzy rehabilitacji, fizjoterapeutów pediatrycznych, neurologopedów oraz psychologów klinicznych.

Ośrodek zapewnia dzieciom przedwczesnie urodzonym bezpłatną terapię już od momentu opuszczenia szpitala. Bez aparatury podtrzymującej życie, samodzielnie już funkcjonujący wcześniak, rozpoczyna w Otulinie etap kodowania i utrwalania właściwych wzorców psychoruchowych, natomiast zespół specjalistów fazę diagnozowania i pracy nad zidentyfikowanymi nieprawidłowościami rozwojowymi wynikającymi z przedwczesnego porodu i problemów okołoporodowych. Więcej informacji o ośrodku dostępnych jest na: www.kolorowyswiat.org

Przekazując swój 1% podatku, ratujesz wcześniaki – KRS 0000161880

A gdzie kolczyki?

Przez cały miniony tydzień inspektorzy Komisji Europejskiej sprawdzali, dlaczego zdarzył się skandal z nielegalnym ubojem chorych krów w rzeźni pod Ostrowią Mazowiecką. I jak duże jest niebezpieczeństwo, że może zdarzyć się kolejny. Od tego, co zobaczyli w Polsce, zależy teraz los naszego eksportu mięsa.

JOANNA SOLSKA

Afera odbiła się szerokim echem w całej Europie. Reportaż „Superwizjera” z TVN, na którym widać, jak chore krowy wciągane są na specjalnych wyciągarkach do ubojni i tam zabijane nocą, bez obecności lekarza weterynarii, pokazały telewizje całej Europy. Na nieludzkie traktowanie chorych zwierząt oburzają się organizacje zajmujące się dobrom stanem zwierząt, a unijni producenci wołowiny, którym polscy hodowcy odbierali wcześniej klientów, korzystają z okazji i straszą konsumentów naszym mięsem. W reportażu widać, jak z półtuszy wycinane są ropnie i inne fragmenty, odbierające apetyt nawet najbardziej mięsożernym.

Francuscy hodowcy wołowiny żądają, żeby rząd nie narażał zdrowia francuskich konsumentów, powinni jeść zdrowe mięso z miejscowych hodowli. Droższe, ale przecież zdrowie nie ma ceny. Żadna kampania reklamowa nie byłaby tak skuteczna jak wpadka polska, którą zrobiliśmy konkurentom za darmo. Wdzięczni nam są więc także hodowcy irlandzcy i brytyjscy, którym nasi wcześniej odebrali kawałek rynku, a teraz tamci mają szansę go odzyskać. Na razie zagraniczni odbiorcy wstrzymują się z zamówieniami, a ceny polskiej

wołowiny spadły o około 15 proc. Mimo że była i tak o ponad 15 proc. tańsza niż na Zachodzie, dlatego prawie 88 proc. wołowiny sprzedawaliśmy za granicą. Zarabialiśmy na niej ponad 5 mld zł rocznie. W tym roku mieliśmy apetyt na dużo więcej, ponieważ mięso halal i koszerne z uboju rytualnego chętnie kupują także Turcy i Żydzi.

Mięso z zamkniętej już ubojni pod Ostrowią Mazowiecką, która jak na ironię w swojej nazwie miała „eko” (Ekopol), zdążyło trafić do odbiorców w 14 krajach Unii Europejskiej. Na Słowacji przeznaczono było dla szkolnych stołówek. Mocno



poirytowani na naszego ministra rolnictwa są Czesi, którzy – już po wybuchu afery – pytali, czy aby mięso nie pojechało również do nich. Usłyszeli, że nie, co wkrótce okazało się nieprawdą. Więc teraz, nie czekając



na decyzję Brukseli, Czesi kontrolują w przenośnych laboratoriach na granicy każdy transport mięsa z Polski. Zakazać go wbrew Brukseli nie mogą, ale utrudniają, ile się da. Premier Babisz, potentat w branży żywnościowej, od kilku już lat przekonuje czeskich konsumentów, że polskie produkty są marnej jakości. Daliśmy mu do ręki potężną broń, której nie waha się użyć. Czeski rząd zapowiedział, że będzie namawiał Brukselę do zakazania sprzedaży naszego mięsa na rynku Wspólnoty.

Nóż w plecy polskiemu hodowcom wbił też Michał Kołodziejczak, który ściągnął rolników na środową demonstrację do Warszawy pod hasłem obrony polskiego rolnictwa. Jednym z jego postulatów jest znakowanie w sklepach żywności narodowymi chorągiewkami, ponieważ przynajmniej połowa oferty powinna być nasza. Francuzom, Czechom, Brytyjczykom czy Słowakom tylko w to graj. Chętnie też u siebie oznakują nasze mięso, korzystając z okazji, żeby wypchnąć polskie produkty z ich sklepów. Niech ludzie kupują z miejscowymi chorągiewkami. Jeśli postulat Kołodziejczaka zostanie spełniony, z dotychczasowym eksportem polskiej żywności, którego wartość zbliża się do 30 mld euro rocznie, raczej przyjdzie się pożegnać. Za granicę sprzedajemy za około 10 mld euro więcej, niż sprowadzamy. Wojna na flagi narodowe nie może się więc dla nas skończyć dobrze. Hodowcy Kołodziejczakowi za taką obronę nie podziękują.

Powody do wdzięczności wobec Polaków mają natomiast Niemcy. Nasza afery przykryła bowiem ich aferę, która wybuchła w październiku w rzeźni Bad Iburg w Dolnej Saksonii. Wykryła ją i udokumentowała na filmie organizacja SOKO Animal Welfare. Tam także można było zobaczyć, jak chore krowy, niezdolne do samodzielnego poruszania się, wciągają się z samochodu do rzeźni za pomocą elektrycznej wyciągarki. Portal fleischwirtschaft.de poinformował, że mięso z tej ubojni trafiło do zakładów przetwórczych w Bawarii oraz Polsce.

Teraz europejskie media zajmują się już polską aferą. Zaniepokojenie unijnych konsumentów umiejętnie podsycają politycy i lokalni hodowcy, którym dostarczyliśmy broni, by pozbyli się taniej polskiej konkurencji. O tym, czy im się to uda, zdecydują wnioski z raportu, jaki po wizycie w Polsce napiszą unijni inspektorzy. Mamy wiele powodów, by się go obawiać. To nieprawda, że kontrola jest standardowa, ściągnęliśmy ją sobie na głowę sami własną opieszałością.

O aferze mięsnej mówiono w Ministerstwie Rolnictwa już na kilka dni przed jej wybuchem. – *Spotkali się tam hodowcy bydlę mięsny i z ust do ust powtarzaliśmy sobie, że TVN, którego dziennikarze zaczęli przygotowywać swój reportaż jeszcze w listopadzie, wykrył rzeczy, które nas skompromitują* – wspomina jeden z uczestników tej narady. Musiał więc także o tym wiedzieć minister Jan Krzysztof Ardanowski. I nie zrobił nic. Nie zrobił nic także wtedy, gdy 14 stycznia – jak twierdzi reporter Tomasz Patora z TVN24 – proceder został oficjalnie zgłoszony. Miał sporo czasu, reportaż wyemitowano 26 stycznia.

W całej Europie o aferze z polskim mięsem było już głośno, a rząd polski ciągle milczał, choć miał obowiązek natychmiast powiadomić o niej Rapid Alert System for Food and Feed (RASFF), czyli europejski system bezpieczeństwa żywności. Powstał po to, by w razie wykrycia zagrożenia w ciągu kilku godzin zlokalizować jego źródło i wycofać trefne jedzenie. Dlatego wszystkie unijne krowy mają kolczyki, a każdy kawałek mięsa kod, który wskazuje, skąd pochodzi. Brakiem reakcji rząd spowodował, że zagraniczni odbiorcy zdążyli już mięso zjeść. Ale też strzelił sobie samobója. To dlatego wściekli się na nas Czesi i unijni inspektorzy musieli przyjechać.

Polscy konsumenci do tej pory nie mają pojęcia, w czym mogli zjeść mięso z Ostrowi. Wiedzą tyle, ile usłyszeli w reportażu, że wołowina idzie na kebaby. Ale też na hamburgery. Nie wiemy, gdzie jeszcze. Zapewnienia ministra Ardanowskiego, że mięso zostało przebadane i jest zdrowe, tylko go pogrążają. Wszyscy widzieli te wycinane z półtuszy roponie. Były wysoki urzędnik Inspekcji Weterynaryjnej, oglądając reportaż, zauważył spuchnięte stawy kolanowe niektórych krów. – *Sądzę, że musiały być leczone, zanim hodowca zdecydował się je sprzedać* – twierdzi. Są więc podstawy do obaw, że w mięsie mogą być także pozostałości leków, np. przeciwbólowych.

Więc pierwsze pytanie, które zadali unijni inspektorzy, brzmiało: Dlaczego nie powiadomiliście nas od razu? Europejscy konsumenci dowiedzieli się przecież o aferze od Vytenisa Andriukaitisa, unijnego komisarza odpowiedzialnego za bezpieczeństwo żywności, który stwierdził, że mięso chorych krów zabijanych w Polsce w okrutnych warunkach trafiło do wielu krajów Unii, i wezwał polskie władze do działania.

Następne pytanie też było kłopotliwe: Dlaczego chore krowy trafiły do ubojni? Bajek, że były zdrowe, tylko na przykład złamały nogę, nie da się inspektorom wcisnąć, też widzieli reportaż. Unijne prawo jest w tej kwestii jednoznaczne, w takim przypadku nie wolno męczyć zwierzęcia transportem do rzeźni. Trzeba wezwać lekarza weterynarii i w gospodarstwie przeprowadzić tzw. ubój z konieczności. – *Takie mięso jest zdrowe, kiedyś sprzedawano je w tanich jatkach* – pamięta Janusz Rodziejewicz, prezes Stowarzyszenia Rzeźników i Wędliniarzy. Obecnie hodowca może je zostawić sobie albo oddać do rzeźni, ale za niższą cenę. W gospodarstwie rolnika prawo zostało złamane po raz pierwszy.

Krowy, które widzieliśmy w TVN, nie miały jednak połamanych nóg. Były wymęczone kilkuletnią „produkcją” mleka i najprawdopodobniej jednak chore, skoro nie były w stanie samodzielnie się poruszać. Mogły być bezskutecznie leczone antybiotykami, a wtedy – bez zachowania okresu karencji – nie wolno takiego mięsa przetrzymać do konsumpcji. Jeśli dalsze leczenie nie rokuje powrotu do zdrowia, zwierzę trzeba uśpić i utylizować. Stop-klatka – teraz prawo zostanie złamane po raz drugi.

W tym momencie hodowca musi sobie zadać pytanie, czy chce kolejne 500 zł stracić na opłacenie lekarza, który to zrobi, czy też 400 zł zarobić, jeśli nielegalnie sprzeda zwierzę handlarzowi. Pokusa jest duża, sprawa łatwa. O tym, że na każdym portalu rolniczym pełno jest ogłoszeń w stylu „zwierzę pourazowe kupię, posiadam wyciągarkę”, POLITYKA pisała już 24 kwietnia 2013 r. („Bój o ubój”). Teraz nowe jest tylko słowo „leżak”, oznaczające krowę niemogącą się samodzielnie poruszać. Ani policji, ani Ministerstwa Rolnictwa te ogłoszenia jednak przez lata nie bulwersowały. Aż do czasu, gdy wybuchła afery w ubojni pod Białą Rawską, gdzie nielegalnie ubijano się nie tylko zwierzęta chore, ale do produkcji wyrobów mięsnych używano także mięsa ze zwierząt padłych. To był potężny sygnał ostrzegawczy, że nasz system kontroli bezpieczeństwa żywności zawodzi i że nasze rolnictwo może za to słono zapłacić. ▶